

Naród o duszy Kościoła*

James A. Morone, Hellfire Nation: The Politics of Sin in American History, . Yale University Press, 2003. 575 stron.

Philip Earl Steele

DZIŚ W POLSCE LEPIEJ ROZUMIE SIĘ społeczeństwo amerykańskie niż jeszcze kilka lat temu. Niemniej w dalszym ciągu niezbyt dobrze rozumiemy religijność Amerykanów, miejsce religii w życiu publicznym w Ameryce oraz kluczowe – i całkiem osobliwe – wierzenia religijne w tym kraju. Dzieje się tak pomimo o wiele bliższych kontaktów między nami – a nawet pomimo prezydentury George’a W. Busha.

Znajomi redaktorzy ostatnio utwierdzili mnie w przekonaniu, że tak naprawdę dopiero pod koniec lat 90-tych zaczęto odchodzić od obiegowej opinii, wedle której (nie licząc sporadycznych konwulsji „folkloru” społecznego) forum publiczne w Ameryce jest całkowicie ześwieczone i, o ile Amerykanie nie są co najmniej areligijni, to ich wiara stała się sprawą już czysto prywatną. Tłumaczyli mi, że polska publicystyka długo lansowała liberalizm kulturowy jako model określający społeczeństwo amerykańskie – i że utarło się tak myśleć.

Wśród ważniejszych wyjątków, które przykuły moją uwagę w tamtym okresie, jest znakomity artykuł Jacka Żakowskiego pt. „Coś w Polsce pękło, coś się skończyło” (GW, 16-17 IV 1994). Analizując kryzys etosu państwowego (i to w sposób jakże aktualny), Żakowski napisał: *Wybitny intelektualista i polityk, z którym dzielę się moimi obawami cytując Maxa Webera, przestrzega mnie przed uprawianiem moralizatorstwa w polityce. „Tak, to jest nasza porażka. Ale kiedy pan mi to opowiada, nie słyszę Jacka Ż. z Warszawy. To mówi Amerykanin przy padkiem tu zbląkany. W Ameryce etyka rządzi polityką, ale nie tu – w Europie”.*

Istotnie, różnica ta rzuca się w oczy – o czym Amerykanie też wiedzą. Przykładowo, parę lat temu, w czasie skądinąd niezrozumiałej dla Europejczyków afery wokół romansu Moniki Lewinsky z Prezydentem Clintonem, czołowy republikanin William Bennett stwierdził, że z powodów moralnych prezydent nie nadaje się na stanowisko publiczne. Skonfundowanym za oceanem wyjaśnił: *Morality is central to our politics and attitudes in a way that is not the case in Europe – „Moralność leży u podstaw naszej polityki i naszych poglądów w sposób odmienny niż w Europie”.*

Szeroko komentowana książka Jamesa A. Morone’a pt. *Hellfire Nation: The Politics of Sin in American History* („Naród zelotów: odzew polityki na grzech w historii Ameryki”) może znacząco przyczynić się do lepszego zrozumienia powyższej różnicy – zwłaszcza w Europie. „O ironio” – trzeba od razu dodać, ponieważ książka została napisana niemal wyłącznie z myślą o Amerykanach.

James A. Morone, politolog z Brown University w stanie Rhode Island, dostarcza nam świetnie napisaną, gruntownie udokumentowaną pracę głoszącą, iż metanarracja amerykańskiej historii jest metanarracją religijną. Hellfire Nation jest niewątpliwie jedną z najlepszych syntez tej perspektywy i taką, którą warto czytać w Polsce.

Sęk w tym, że Profesor Morone zdaje się wierzyć, że „odkrył Amerykę”. A jednak teza o religijnej metanarracji dziejów Ameryki ma żywot bez mała czterystuletni. Tak pojmowali sobie swoje nie tyle przedsięwzięcie co „przymierze z Bogiem”, pierwsi osadnicy w Nowej Anglii. Wśród nich był gubernator John Winthrop, który ukuł wciąż ważną dla Amerykanów metaforę: „a city on a hill”. Tak też przedstawia historię Ameryki w naszych czasach Profesor Paul Johnson (zob. *A History of the American People*, 1998 r). Podobnie jak Morone, Johnson opisuje, że trajektoria dziejów Ameryki nie biegnie od religijności do sekularyzacji, lecz od jednego „przebudzenia” religijnego do następnego.

Przekonaniu o decydującym wpływie siedemnastowiecznego purytanizmu na dalszy los Ameryki wcale nie grozi osłabienie. Tak samo jak postrzeganie „przebudzeń” w ruchu na rzecz praw obywatelskich lat 1955-1965, w ruchu na rzecz prohibicji, w abolicjonizmie czy też Rewolucji Amerykańskiej nie budzi wątpliwości. Jednak czytelnik, który zaczyna swoje „odkrywanie Ameryki” od Hellfire Nation pomyśli, że ma do czynienia z dziełem polemicznym. Ale takim ono nie jest.

Pytanie, które wyłania się z powyższego brzmi: dla kogo Morone napisał Hellfire Nation? Sprawa jest rzeczywiście zagadkowa. Czy może dla tych, którzy zamknęli się w jakimś kręgu politologii, w którym teorie typu utylitaryzm panują niepodzielnie? Wiadomo, że wąskie specjalizacje nieraz nakładają klapki na oczy – a skoro tak, może po prostu politolog właśnie odkrył historię? Tak czy inaczej, trzeba przyznać, że Morone’a „odkrycie Ameryki” posiada też niedwuznaczne zalety dla czytelnika, jako że proza Hellfire Nation wydaje się świeża i przyciągająca właśnie poprzez zachwyty autora odkrywaniem.

Kolejny mankament Hellfire Nation dotyczy „na szczęście” amerykańskiego czytelnika, nie polskiego. Chodzi o to, że Morone nie przedstawia kontekstu porównawczego. Przy braku odniesień do innych kultur, do dziejów na styku religii i polityki w innych krajach, Morone wcale nie sprostą swemu zamiarowi wykazania wyjątkowości dziejów amerykańskich. Inaczej: metanarracje mają to do siebie, że stają się dostrzegalne dopiero w zestawieniu z innymi. Polski czytelnik oczywiście posiada własną odmienną metanarrację – prościej, ma kontekst porównawczy – zatem Hellfire Nation tak naprawdę jest napisana dla niego raczej niż dla Amerykanów.

Gwoli sprawiedliwości, trzeba przyznać, że kilka razy (ale nie więcej) Morone rozszerza ramy swoich rozważań, by obejmować inne części świata. Ale nawet wtedy robi to powierzchownie. Na przykład, na stronie 411 pisze, że współczesne doświadczenie Stanów Zjednoczonych w sferze religii zadaje kłam tezie, że modernizm nieubłaganie niszczy wiarę religijną. Zgoda, ale nie podaje on żadnych danych statystycznych po temu – zgłośa nic, by skonfrontować doświadcze-

nia krajów europejskich z doświadczeniami amerykańskimi. A jednak warto! Albowiem podczas gdy 3% Niemców i 2% Anglików uczestniczyło w nabożeństwach w czasie ostatniego weekendu – w Ameryce było 43%. W Czechach wierzy w Boga 28% - w Ameryce zaś 94%.

W podobnym duchu, oględnie omówiwszy jak Amerykanie określają „my – oni”, Morone pisze we wstępie: „Oczywiście każdy naród wywalcza sobie kryteria określania swoich członków [...] Czym Ameryka się różni?”. Potem odnosi się do Niemiec w zaledwie kilku zdaniach, nie omieszkując całkowicie pomylić biologiczną w gruncie rzeczy definicję niemieckości z definicją „kulturową”. Słowem, Hellfire Nation razi prowincjonalizmem amerykańskim. Pewnie to nam tłumaczy dlaczego na stronie 129 Morone łączy Marcina Lutera z rokiem 1492 (sic! – odkrycie Ameryki przez Kolumba!) a nie z rokiem 1517, gdy Luter ogłosił swoje 95 tez.

Hellfire Nation jest już i tak dość długą lekturą (575 stron), ale można było skrócić liczne powtórzenia a w zamian rozbudować komparatystykę. Wcale nie neguję tezy o unikalności doświadczenia religijnego na styku z forum publicznym w Ameryce – wręcz przeciwnie! – ale czytelnik Hellfire Nation często może odnieść wrażenie, że owa wyjątkowość istnieje, tam gdzie jej nie ma. Niech za przykład posłuży cenzuralność książki D. H. Lawrence’a *Lady Chatterley’s Lover*, omawiana w szerszym kontekście cenzury na stronach 396-397. Otóż *Lady Chatterley’s Lover*, którą Lawrence ukończył w roku 1928, czekała ponad trzydzieści lat na pełne wydanie nie tylko w Stanach, ale także w Wielkiej Brytanii. Zresztą, w Polsce pełne wydanie czekało pół wieku. Podobnie, moim zdaniem, Morone powinien był porównywać abolicjonizm do swojej wersji zwłaszcza w Brazylii i polowanie na czarownice do swojego wydania w Europie (Morone nie wspomina, iż podczas gdy w Nowej Anglii stracono ok. 36 „czarownic” – w Europie zabito ich od 40.000 do 60.000!!!). Należało też skonfrontować m.in. amerykański rasizm oraz ruch na rzecz równouprawnienia kobiet z odpowiednikami w kilku innych krajach. Bez takich porównań czytelnik amerykański jest niezdolny do kontemplacji własnego odbicia.

* * *

Amerykanie rzeczywiście posiadają własny język religijny¹. Niejednemu Polakowi może się wydawać, iż mają całą własną kosmologię – i myśląc w ten sposób pewnie ma rację. Hellfire Nation dobitnie to pokazuje, może zwłaszcza tam, gdzie traktuje o milenaryzmie oraz blisko związanym z nim mesjanizmie.

Zacznę od potrzebnej nam definicji milenaryzmu. Słownik Języka Polskiego PWN podaje pod hasłem >milenaryzm<: odmiana chiliazmu, wiara w powtórne przyjście Chrystusa i tysiącletnie panowanie „królestwa bożego” na ziemi; składnik ideologii wielu antyfeudalnych plebejskich ruchów społeczno-religijnych w średniowiecznej Europie.

Jednak chrześcijański milenaryzm nie jest bynajmniej tak odległy jak średniowiecze! Żyje i ma się dobrze wzdłuż i wszerz w dzisiejszej Ameryce – i to wcale nie tylko wśród adwentystów, świadków Jehowy lub ogólniej wśród „evangelicals” – czyli protestantów-starowierców znanych w Polsce jako „ewangeliczni”². Otóż milenaryzm w Stanach jest obecny także wśród wierzących, którzy należą do starszych zborów, tych które wywodzą się z Reformacji. Ja się wychowałem w Kościele prezbiteriańskim (znanym w Polsce jako Kościół Ewangelicko-Reformowany), więc wiem z autopsji, że i tam nurty milenijne są silne. Pamiętam, na przykład, że cały kościół czytał literaturę o rychłym przyjściu Jezusa (chodzi przede wszystkim o wręcz paranoidalną książkę Hala Lindseya pt. *The Late Great Planet Earth* – notabene, największy bestseller w Ameryce w latach 70-tych!). Pamiętam też wyświetlanie specjalnej serii filmów o „the Rapture” (dosłownie, >uniesienie<; w polskich kręgach ewangelicznych mówi się „pochwycenie”), czyli o tym, że w dniu powrotu Jezusa na ziemię wierzący po prostu znikną, zostaną właśnie „pochwyceni”. Mogę wprost stwierdzić, że jako nastolatek-prezbiterianin w latach 70-tych skłonny byłem wierzyć, że „the Rapture” szybko nadejdzie, że żyłem w „ostatnich dniach”. To sprawa dla doktorantów z etnologii, ale całkiem normalny w USA, zwłaszcza w kręgach ewangelicznych (politolog i religioznawca Mary Segers twierdzi [1998 r.], że 40% Amerykanów to ewangeliczni), jest potężny lęk nastolatków, że nie zdążą stanąć na ślubnym kobiercu – czyli nie doświadczą miłości cielesnej³. Ogólniej, natomiast, milenaryzm wiąże się z uporządkowaniem pod kątem duchowym własnego życia oraz życia wspólnoty w oczekiwaniu na powrót Chrystusa.

Morone obszernie opisuje związki między milenaryzmem a całą gamą ważnych spraw politycznych w Ameryce, tłumacząc nam udział, jaki odegrały gorączki milenijne np. w Wojnie Secesyjnej, historii wyzwoleńczej Murzynów w Ameryce, w Wielkim Przebudzeniu, ruchu pod przywództwem wielebnego Martina Luthera Kinga oraz buncie młodzieżowym lat 60-tych. Ta ostatnia jest może sprawą najciekawszą, gdyż świadczy o tym, że milenaryzm stał się „świecki”, czyli tym, co wybitny znawca milenaryzmu Charles H. Lippy nazywa „civil millennialism”⁴.

Otóż można dostrzec u aktywistów z przeróżnych krajów to, że pojmują oni swoje działanie nie tylko jako doczesne: bywają przecież przekonani o zaiste zbawczej roli swej pracy. Jednak na pewno wielu się zgodzi, iż taką postawę spotyka się dużo częściej u Amerykanów. Europejczyk niemal natychmiast wyczuwa u nich swoisty moralizm, z jakim podchodzą do swego działania (by nie powiedzieć „misji”). Często przebija tu milenaryzm, w tym sensie, że takim aktywistom naprawdę chodzi o ustanawianie wyższego ładu, ładu nie z tego świata. Ład ten trudno odróżnić od „królestwa bożego” świadomych milenarystów, że wspomnę choćby „mojego brata” ze zboru prezbiteriańskiego Woodrowa Wilsona i jego zamiar to make the world safe for democracy. Idealizm amerykański jest wszak przesiąknięty milenaryzmem.

Sądzę, że istnieje coś takiego jak amerykański rodzaj rozczarowania i że ma ono milenijne podłoże. W Hellfire Nation Morone na to wskazuje, gdy na stronie 439

cytuje studenta-radykała, jednego z „Chicago Seven”, Toma Haydena, który w połowie lat 70-tych stwierdził: „Zatrzymaliśmy wojnę, obaliliśmy dwóch prezydentów, zintegrowaliśmy Południe rasowo i przełamaliśmy inne bariery wynikające z dyskryminacji. Więc jak to możliwe, że tyle osiągnęliśmy, a nadal mamy tak mało?”. No właśnie – jakże ważne sukcesy! Tymczasem królestwo nie zstąpiło. Stąd poczucie pustego zwycięstwa. Przypomina się w tym kontekście także pustka zwycięstwa w Zimnej Wojnie. Związek Sowiecki upadł i nowopowstałe państwa zaczęły się prześcigać we wdrażaniu systemów na modłę amerykańską – i co? Gdzie „koniec historii”? Kiedy świt królestwa?

Charakterystyczne jest to, że owo rozczarowanie po amerykańsku nie przeradza się w rozgoryczenie, lecz raczej w niespokojne poszukiwanie możliwości podjęcia następnej próby – następnej „New Frontier”, tzn. misji ad inexplorata i contra hostes. Tak jak przysłało potomkom przymierza i otwartej krainy (the covenant and the frontier).

Milenaryzm ma również wiele innych obliczy. Profesor Lippy pisze, „Czasem milenaryzm wywiera wpływ w sposób jawny; czasem w sposób bezwiedny. Jak gdyby istniało złoże milenijne w samoświadomości tych, którzy kształtowali i kształtują nasze życie w Ameryce”. Tak, pamiętamy, gdy cztery lata temu to złoże ujawniło się wokół początku nowego millennium. Niby chodziło o przestawienie zegarów komputerowych, ale wprost paranoicznego lęku Amerykanów w tamtym czasie nie da się tym wytłumaczyć. Inne oblicze amerykańskiego milenaryzmu to filmy, które Hollywood nieustannie nam podaje o tematyce „Armagedon”. Ciekawe, że Profesor Lippy dostrzega tu przeniesienie na ekran sporu między premilenarystami (którzy wierzą, że Jezus wróci przed millennium) a postmilenarystami (którzy wierzą, że millennium pokoju i szczęścia nastąpi zanim Jezus wróci) w zestawieniu filmów Star Wars z jednej strony z filmami Star Trek z drugiej. Coś w tym jest...

Hellfire Nation dobrze opisuje jak przymierze i milenaryzm łączą się w swoisty mesjanizm w USA. Krytyczny wobec niego, Profesor Morone kilkakrotnie oddaje głos wybitnemu teologowi amerykańskiemu, Reinholdowi Niebuhrowi, który słusznie potępił bałwochwalstwo zawarte w mesjanizmie tak wielu swoich rodaków w czasie Zimnej Wojny. Jednak głos Niebuhra to „głos wołającego na pustyni”, głos może nawet profetyczny – ale ignorowany niemal całkowicie. W tej materii Morone słusznie podkreśla ważną rolę wybitnie amerykańskiego gatunku kazania, jakim jest jeremiada. Otóż od 17-ego wieku amerykańscy przywódcy – niczym prorocy Starego Testamentu – wygłaszają „ludowi przymierza” jeremiady: że lud powstał w przymierzu z Bogiem (czy też wokół wzniosłych ideałów, w wersji świeckiej), że obecne zagrożenia są wynikiem odwrócenia od przymierza, lecz jeśli lud na nowo się nawróci na wiarę ojców i założycieli wspólnoty to znowu dostąpi łaski Bożej. I rzeczywiście do dzisiaj w Ameryce rozbrzmiewa jeremiada, czy to w orędziu wielkiego Kinga „I Have A Dream”, czy w pierwszym orędziu inauguracyjnym Prezydenta Clintona – czy też w skandalizującej wypowiedzi

pastorów Jerry'ego Falwella i Pata Robertsona po jedenastym września, gdy obciążyli tych, którzy dopuszczają aborcję odpowiedzialnością za ataki terrorystyczne. „God will not be mocked” zagrzemiał Falwell – co znaczy „człowiek nie naigrawa się z Boga bezkarnie”.

Moim zdaniem najlepszą, najbardziej inspirującą jeremiadę wygłosił w roku 1863 Prezydent Lincoln w Gettysburgu, w stanie Pensylwania, na miejscu najkrwawszej bitwy naszej historii. Jest to krótkie orędzie i skoro śp. Jan Karski tak po mistrzowsku je przełożył na język polski, pozwolę sobie je podać w pełni: *Osiemdziesiąt siedem lat temu ojcowie nasi dali życie na tym kontynencie nowemu narodowi, poczętemu w Wolności i oddanemu idei, że wszyscy ludzie są stworzeni, jako sobie równi.*

Toczymy obecnie wielką wojnę domową, by ustalić czy naród ten, czyli też jakikolwiek naród, tak poczęty i tejeże idei oddany, może się ostać. Spotykamy się na wielkim pobojuwisku tej wojny. Przyszliśmy tu, ażeby poświęcić jego część na miejsce wiecznego spoczynku tych, którzy tutaj oddali swe życia, by naród ten mógł żyć. Właściwą i słuszną jest rzeczą, iż to czynimy.

Ale szerzej rzecz pojmując, my nie możemy ofiarowywać, my nie możemy uświęcać, my nie możemy uczcić tego miejsca. Dzielni mężowie, żywi i zmarli, którzy tutaj walczyli, tak je uświęcili, iż my ani dodać ani ująć z tej świętości nie jesteśmy w stanie. Świat niewiele zauważy, ani nie na długo spamięta, co tutaj mówimy, ale tego, czego oni tutaj dokonali, nigdy nie będzie mógł zapomnieć. Nam żywym należy raczej poświęcić się tutaj niedokończonemu dziełu, które ci, tutaj walczący, tak godnie aż dotąd doprowadzili. Nam należy raczej poświęcić się tutaj wielkiemu zadaniu, jakie stanęło przed nami – aby przejąć od tych godnych czci poległych zwiększoną ofiarność dla sprawy, której oni oddali się bez reszty – aby zobowiązać się tutaj uroczyście, iż ci zmarli nie polegli na darmo – aby naród ten z pomocą Bożą odrodził się do wolności – aby rząd z ludu, przez lud i dla ludu nie zginął z tej ziemi.

* * *

Ograniczając się tylko do „odzewu polityki na grzech w historii Ameryki”, Morone pomija całe ogromne obszary oddziaływania religii na forum publiczne w Ameryce. I wydaje się, że robi tak z powodu źle pojmowanej istoty wiary religijnej⁵. Otóż religia to nie tylko lista spraw, których nie wolno. To nie tylko walka z grzechem. To przecież też uznawanie i pielęgnowanie duchowości. To też okazywanie miłości bliźniemu swojemu. Ignorując albo nie uznając tego, Morone traci z oczu szereg bardzo znaczących aspektów życia publicznego w Ameryce.

Jeden z nich to walka przeciw materializmowi. Najgłośniejszy front tej walki to zacięty spór między kreacjonistami a darwinistami toczony z niesłabnącą determinacją do dziś o szkolnictwo publiczne⁶. Trzeba zaznaczyć, że „małpi proces” z roku 1925 był tylko początkiem i że dzisiaj kreacjonizm musi być co najmniej

uwzględniony w kuratoriach szkolnych w USA na wszystkich poziomach. Anty-darwinizm nie schodzi na dłużej z wokand stanowych i federalnych sądów i najnowsza „mutacja” kreacjonizmu – design theory, która według zwolenników może empirycznie udowodnić „inteligentne zaprojektowanie” zwłaszcza organizmów biologicznych – cieszy się co prawda małą, ale rosnącą popularnością wśród biologów uniwersyteckich. Stanowiąc drobną mniejszość w innych krajach, w USA co druga osoba to kreacjonista. Tymczasem „odzew polityki na grzech” nie tłumaczy nam w ogóle zjawiska kreacjonizmu w USA.

Drugi aspekt ominięty w Hellfire Nation to gdzie indziej niespotykany zasięg wolontariatu w USA. A że kościoły i stowarzyszenia religijne mają niezwykle ważny udział w wolontariacie – i szerzej, w całym przekroju prac społecznych i charytatywnych – nie trzeba argumentować. Niemniej tego typu zaangażowanie wierzących w życie publiczne i polityczne nie zostało odpowiednio uchwycone w Hellfire Nation. Przeciwnie: Morone sugeruje, że owo zaangażowanie – znane w j. angielskim jako „Social Gospel” – przestało odgrywać znacząco rolę w Ameryce już kilka dekad temu. Rzeczywiście, łatwo można zaszufadkować program tzw. „Prawicy Chrześcijańskiej” jako głos przeciw. Przeciw gejom, przeciw aborcji, przeciw pornografii, przeciw hazardowi, alkoholowi itd. A przecież nie wszyscy wierzący to Prawica – choć i też zachęca ona i wręcz wysyła swoich do przeróżnych organizacji typu „Social Gospel”. Zresztą partnerstwo rządu federalnego z organizacjami społecznymi o profilu religijnym, to jedna z ważniejszych innowacji administracji ewangelicznego George’a W. Busha.

Nawiasem mówiąc, Profesor Morone także pominął Mormonizm, sagę zrodzoną wprost z milenaryzmu i jedyną podtrzymywaną wyznaniową próbę zbudowania „królestwa” po purytanach. Hellfire Nation zawiera tylko dwie lakoniczne wzmianki o mormonach – co nieuniknione, o wielożeństwie (s. 2 i 262). Jednak przy całym skupieniu Profesora Morone’a na moralistycznym odróżnieniu nas od „onych”, historia mormonów powinna była zwrócić jego uwagę. Przecież jedyne wojny religijne w historii Ameryki wypowiedziano właśnie mormonom. I choć nie sposób przywołać ważniejszego amerykańskiego milenarystę czy po prostu barwniejszą postać religijną niż Josepha Smitha, mormońskiego proroka, nie wychynie on w ogóle z kart Hellfire Nation. W indeksie znajduje się natomiast niejaki Rodney Gypsy Smith (???) – ale nie Joseph Smith.

Pewnie największą zasługą Hellfire Nation jest klarowne przedstawienie procesu, w jakim oburzenie moralne (uzasadnione czy też urojone) może doprowadzić do rozwoju a nawet stworzenia nowych instytucji państwowych. Morone robi to bardzo ciekawie – być może zwłaszcza w sprawie FBI, którego powstanie w Hellfire Nation opisuje jako reakcję tradycyjnej Ameryki, Ameryki farm, na masowe migracje młodzieży do miast. Plotki, a w ślad za nimi ulotki, zaczęły wtedy krążyć wśród wiejskiej ludności, że złoczyńcy zwabiali córki farmerów posługując się oszustwem do domów publicznych, gdzie je więziono i zaprzęga-

no do niewolnictwa seksualnego. Prezydent Taft zażądał, ażeby rząd federalny przeciwstawił się handlowi „białymi niewolnicami” – i zadanie to przypadło maleńkiemu biurze założonemu w 1908. Szybko przybywało mu obowiązków, rosła jego władza i niedługo potem zostało ono przemianowane na Federal Bureau of Investigation. Dalej Morone tłumaczy w jaki sposób FBI wzmocniło się w latach 50-tych, zwłaszcza w erze McCarthy’ego, „dzięki” powszechnemu lękowi przed złem komunizmu.

Choć Morone przyznaje, że lęk przed Związkiem Sowieckim (an implacable enemy – „nieprzejednanym wrogiem”, s. 395) był uzasadniony, równocześnie jednak Hellfire Nation daje do zrozumienia, że Ameryka raz po raz wymyśla swoje demony. Idąc tym śladem, pod koniec Hellfire Nation Morone ostrzega, że obecnie coś podobnego się dzieje w organizowaniu Department of Homeland Security. Na pewno wielu przekona tym argumentem, ale mnie znowu brakuje jakiegokolwiek komparatystyki. Jak powstawały służby specjalne w innych krajach? Jak inne państwa (Korea Południowa, Indonezja, Izrael, RFN) zorganizowały się, by przeciwstawić się terroryzmowi?

Wracając do mormonów, to może Profesor Morone znalazłby bardziej jednoznaczny przykład ekspansji rządu federalnego i „państwa policyjnego” jako „odzew polityki na grzech” w stanie Utah w drugiej połowie 19-ego wieku. Otóż w gwałtownej reakcji przeciwko mormonom mamy do czynienia z oburzeniem moralnym, które zmusiło Kongres do przegłosowania serii ustaw (m.in. zakazujących poligamii), oraz z przesyłaniem najpierw wojsk do Utah (w roku 1857) i potem ‘szeryfów federalnych’ (Federal Marshals) z zadaniem przeczesania pustyni w celu aresztowania niemoralnych mężów i ojców. Owa walka z grzechem określiła też jakże ważną ówczesnie kwestię przyjęcia zachodnich terytoriów amerykańskich jako stany. Mojemu stanowi – Idaho – udało się w roku 1890 zapewnić sobie statehood po tym jak sejmik terytorialny w 1885 r. sam zakazał wielożeństwa.

Mimo moich licznych zastrzeżeń, muszę podkreślić, że Hellfire Nation znakomicie charakteryzuje dziedzictwo purytanizmu w Ameryce. Morone bardzo przekonująco odnajduje w nim zarówno wspólnotowościowy impuls związany z „Social Gospel” jak i moralizatorski impuls, który surowo sądzi jednostkę. Hellfire Nation dowodzi nam, iż oba te rywalizujące ze sobą paradygmaty powstały z purytanizmu. Natomiast Morone gubi inne napięcie powstałe z purytanizmu: napięcie między pojmowaniem Ameryki jako eksperyment (patrz: Lincoln w Gettysburgu) a pojmowaniem Ameryki jako przeznaczenie (patrz: administracja Busha).

Można też zarzucić Hellfire Nation, że traci z oczu Oświecenie, ponoć tak istotne dla myślenia ojców-założycieli w czasie Rewolucji. Jednak nawet nasz najwybitniejszy przedstawiciel Oświecenia – Thomas Jefferson – pozwolił sobie stwierdzić, I tremble for my country when I reflect that God is just – „Drzę na myśl o mym kraju, wiedząc, iż Bóg sprawiedliwym jest”.

Jakże słusznie, że ostatnie słowa Hellfire Nation to: we remain Puritans all – „pozostajemy purytanami my wszyscy”.

Philip Earl Steele

* Znany bon mot G. K. Chestertona o Stanach Zjednoczonych.

Przypisy:

1. Być może znamionym przykładem z ostatnich lat jest użycie słowa >crusade< przez Prezydenta Busha po atakach terrorystycznych. Trzeba podkreślić, że >crusade< ma o wiele szerszy zakres semantyczny niż np. polskie słowo >krucjata<. Nieraz są to wszak lingwistyczne „false friends”, czyli „fałszywi przyjaciele”. Amerykanie bowiem mówią >crusade< o przeróżnych akcjach, kampaniach – m.in. ochrony parków narodowych, planowania rodziny, zaszczepiania dzieci przeciw chorobom, walki przeciw narkotykom, popularyzacji jazzu itp., itd. Nazywamy „crusaders” takie różne postacie, jak Billy Graham, Carl Bernstein i Batman („the caped crusader”) – i wcale nie z ujemną konotacją np. zwrotu „błędny rycerz”.

2. Patrz mój tekst, „Oblicza Ameryki: religia – społeczeństwo – polityka”, cz. 1, Przegląd Powszechny nr 941, styczeń 2000 r. oraz cz. 2 w nr. 942, luty 2000 r.

Najwięcej chodzi o to, że protestantyzm składa się z dwóch głównych nurtów. Jeden obejmuje zbory, które powstały w czasie Reformacji (tj. luteranie, prezbiterianie, anglikanie, itd.); drugi nurt obejmuje baptystów, adwentystów, itd., czyli te zbory, które podkreślają m.in. potrzebę powtórnego narodzenia dorosłej osoby, nieomylność Pisma Świętego (co często równa się z literalizmem), popierają działalność misyjną. Stanowią „strategiczne centrum [amerykańskiego] protestantyzmu” (Fowler i in., 1999 r)

3. Może jeszcze bardziej wymowny przykład stanowi przesłuchanie w Senacie w roku 1981 Jamesa Watta, ewangelicznego mianowanego przez Reagana na ministra Department of the Interior – odpowiedzialnego za państwowe ziemie i zasoby naturalne, narodowe parki, łowiectwo itp. Otóż Watt stwierdził wtedy, że rząd federalny powinien przeznaczyć niektóre państwowe ziemie na prywatne inwestycje. Zapytany, czy taka polityka nie pozbawiłaby przyszłych pokoleń możliwości korzystania z tych ziem, Watt odpowiedział, że proclwa zawarte w Apokalipsie św. Jana tak szybko się spełniają, że nie ma potrzeby, by zagospodarowywać te ziemie pod kątem ewentualnych przyszłych pokoleń (Ted G. Jelen w: A Wall of Separation?, 1998 r). Nominacja została zatwierdzona (sic!).

4. Zob. „Millennialism and Adventism”, w: Encyclopedia of the American Religious Experience, T. II. red. Charles H. Lippy, Peter W. Williams, 1988 r.

5. Typowy jest ustęp na s. 8, gdzie można czytać błędne, moim zdaniem, zrównanie chrześcijańskiej wiary z moralnością: „But what leaps out [from study into colonial America], loudest and clearest, is the search for eternal salvation through Christ’s grace. Morality mattered most in early America. It still matters – enormously – today”.

„Ale to, co uderza najmocniej [gdy się bada kolonialny okres historii Ameryki], jest poszukiwanie wiecznego zbawienia poprzez łaskę Chrystusa. To moralność była rzeczą najważniejszą we wczesnej Ameryce. I moralność pozostaje ważna – ogromnie ważna – do dziś”.

6. Patrz mój tekst, „Księża Rodzaju versus Darwin”, Przegląd Powszechny nr 947/948, lipiec-sierpień 2000 r.